



Mirosław Derecki „TRĘDOWATA”

Dniało. Wstawał świt. [...] Świeży oddech wiosny dmuchnął na delikatne zasłony szyb, muskając puszyste, sobolowo złote włosy Stefci Rudeckiej, ciekawie wychylonej na świat. Była w bieliźnie, z warkoczem trochę roztarganym. Obudził ją odgłos dzwonka i kukulki wołającej w parku.

Takim oto sielsko-lirycznym obrazkiem rozpoczynała debiutująca autorka, Helena Mniszek „Trędowata”, opowieść o miłosnych perypetiach ubogiej nauczycielki i możnego ordynata, o miłości „czystej”, zrodzonej w romantycznych Słodkowcach, a osiągnącej upiorny finał w ponurym zamku w Głębowiczach, gdy zrozpaczony Waldemar stał przed portretem zmarłej narzeczonej:

Bezbrzeżnie smutny wzrok utkwił w różowej Stefci, rozbierając każdy szczegół osobno spoglądał i na swą rękę: błyszczały na niej obok siebie razem dwa pierścionki zaręczynowe - uriańska perła Stefci i wielki brylant Michorowskich. W zamku panowała głucha, tragiczna cisza, jakby ostatnie zamarło w nim szczęście.

„Trędowata” miała stać się dla kilku pokoleń Polaków synonimem złego gustu literackiego i przykładem najgorszej grafomanii, ale zarazem święcić nieustające triumfy wydawnicze. Nad tą książką rzewnie płakały pokojówki, a do łez zaśmiewały się - intelektualistki, ale tak czy owak powieść czytali wszyscy. Do wybuchu drugiej wojny światowej „Trędowata” doczekała się szesnastu wydań, nakręcono w oparciu o nią dwa filmy, dziesiątki satyryków wyrabiały ostrość pióra na zjadliwym komentowaniu miłosnych uniesień Stefci i ordynata Waldemara, a Magdalena Samozwaniec zdobyła „nazwisko” pisząc słynną powieść-parodię pt. „Na ustach grzechu”.

Potem „Trędowata” krążyła w maszynowych odpisach jako swoisty, czytelniczy rarytas, aż w 1971 r. Wydawnictwo Literackie wznowiło ją w nakładzie 40 tys. egzemplarzy, rozchwytanym w ciągu godziny. I wreszcie w 1976 r. Jerzy Hoffman zaprezentował kolejną, trzecią już adaptację filmową sławetnej powieści. W Lublinie „Trędowata” wyświetlana jest od początku grudnia w dwóch największych kinach, idzie kompletami, uważa się, że około połowy stycznia liczba widzów przekroczy sto tysięcy.

Czy mogła marzyć o takiej „sławie” młoda wdowa z głębokiej prowincji, kiedy w 1909 r. w Krakowie opuszczała maszyny drukarskie jej książka, zrodzona w majątku rodziców Sabnia na Podlasiu? Samotna, egzaltowana kobieta, której życie upływało w prowincjonalnych dworach, z dala od centrów kulturalnych, która nawet nigdy do gimnazjum ani na „pensję” nie uczęszczała, bo wykształcenie otrzymała „systemem domowym”- przelewała na papier swoje naiwne marzenia o wielkim świecie, którego nie znała i o wielkiej miłości, za którą musiała tęsknić. Urodzona w 1878 r. w majątku Kurczyce na Wołyniu, Helena Mniszek-Tchórznicka wyszła w wieku 21 lat za W. Chyżyńskiego i zamieszkała w Platerowie na Litwie, a owdowiawszy po czterech latach, wróciła na Podlasie.

Nic nie wróżyło przyszłej „kariery” Mniszkówny, tym bardziej że już na samym wstępie recenzent „Nowej Reformy” zjechał książkę nie pozostawiając na niej suchej nitki: *Treść, którą można opowiedzieć w kilku słowach, ujęła autorka w długi szereg nudnych obrazów, w których opisuje życie arystokracji w sposób mdły, bezbarwny i banalny, świadczący, że obserwacja jej jest płytka, a wyobrażenia jałowa. Trzeba dużej siły woli i pewnego rodzaju poświęcenia, aby powieść tę, typowy plód grafomanii kobiecej, przeczytać do końca.*

Ba! Cóż znaczą jednak słowa najbardziej nawet ostrej krytyki, skoro „Trędowata” była pierwszą polską książką spełniającą zapotrzebowanie na „love story”, opisującą w sposób rozwlekły i naiwny, ale zarazem drobiazgowy, procesy rodzenia się i dojrzewania miłości. Trafiała na rzesze czytelnicznych neofitów, warstw świeżo emancypowanych, które odrzuciwszy reguły wiejskiej obrzędowości, ocknęły się w psychicznej i obyczajowej próżni, a książka Mniszkówny pozwalała im delectować się normą i obrzędem, niezależnie od tego czy były to rzeczywiste normy opisywanego środowiska - jak pisze w interesującym szkicu krytycznym Teresa Walas.

Zresztą nie wszyscy krytykowali autorkę „Trędowatej”. Na przykład Bolesław Prus dostrzegł w niej podobno samorodny talent i zachęcał do dalszej pracy nad sobą. Do pisania w każdym razie nie trzeba było Mniszkówny zachęcać. Rok po „Trędowatej” ujrzał światło wydany w Kijowie, u Leona Idzikowskiego - „Ordynat Michorowski”, a później już co roku z „warsztatu” Mniszkówny schodziła nowa książka: „Zaszumiały pióra”, „Panicz”, „Książęta boru”, „Prymicja”, „Gehenna”. Wybuch pierwszej wojny światowej przyhamował ten potok pisarstwa, ale już w 1918 r. w Warszawie ukazali się „Czyciele szatana”, a w 1922 r. wyszła w Lublinie (!) jej piąta powojenna książka - „Prawa ludzi”. Kiedy w 1926 r. Mniszkówna stała się autorką „filmowaną”, liczyła 48 lat i miała wydanych 14 książek. Nazywała się obecnie - po drugim mężu - Rawicz-Radomyska, większą część książek napisała w majątku męża Rogale pod Łukowem.

„Trędowata” miała być wielkim sukcesem kasowym największej przed wojną polskiej wytwórni filmowej „Sfinks”, toteż postarano się o szczególnie bogatą „wystawę” (film kręcono m. in. w majątku hrabiny Potockiej w Natolinie), oraz o doborową obsadę aktorską: Stefcie grała Jadwiga Smosarska, Waldemara - Bolesław Mierzejewski. Film reżyserowali Edward Puchalski i Józef Węgrzyn, a operatorem był najlepszy bodaj ówczesny „fachman” w tej dziedzinie - Zbigniew Gniazdowski. Film oczywiście był niemy.

„Trędowata” przyniosła istotnie wielki sukces kasowy, ale poniosła całkowitą klęskę artystyczną. Sprawdzały się w odniesieniu do niej słowa Karola Irzykowskiego o polskiej produkcji filmowej, że *naszą ambicją jest międzynarodowy kicz*. Antoni Słonimski na łamach „Wiadomości Literackich” pisał bezlitośnie: *Kinematograf powiększył głupotę tej powieści do rozmiarów kosmicznych a treść filmu sprowadza się do tego, że stado nudnych i nudzących się wałkoni przewala się z ogrodu do salonu i z salonu do ogrodu. (...) „Trędowata” (...) ma powodzenie graniczące z masowym obłędem. Zdaje się, że sekretem tego sukcesu (...) jest po prostu głupota, która ma niezwalczoną siłę atrakcyjną dla głupców.*

Skandal wokół filmowej „Trędowatej” przyczyniał się zresztą do tym większego zainteresowania ze strony publiczności, no a sama Helena Mniszkówna - ładna, cicha, nieśmiała pani, jak ją po latach wspominała Jadwiga Smosarska - musiała być zachwycona. Wprawdzie znikła natychmiast po uroczystej premierze, ale wkrótce nadesłała do Gniazdowskiego list, w którym pisała, że jest *wdzięczna za poemat pól i lasów polskich wyśpiewany mistrzowsko na palecie złudzeń świetlnych*.

A swoją drogą trudno się dziwić publiczności. Kina ówczesne zalewane były tak straszną powodzią szmiry zagranicznej, że od samych tytułów filmów jeżą się włosy na głowie.

W Lublinie premiera pierwszej ekranizacji „Trędowatej” odbyła się we wtorek 18 stycznia 1937 r. w kinie „Corso”. Prasa podawała, że na ekran kino-teatru wszedł współczesny dramat salonowy w 12 wielkich aktach z prologiem, według słynnej powieści Heleny Mniszek. Pierwszy seans zaczynał się o 16.30, a ostatni o 21.30. Filmowi towarzyszyła muzyka koncertowa pod kierownictwem prof. St. Turalskiego. „Trędowata” zdystansowała idące w tym czasie inne filmy, jak: „Białe noce” - dramat z lat ostatnich carskiej Rosji, „Lew Mogołów” - monumentalny dramat egzotyczno-erotyczny czy „Męczennica zmysłów” - erotyczny dramat życiowy w 9 aktach. Niestety, ówczesna prasa lubelska nie zamieszczała recenzji filmowych, ale ze film musiał się podobać świadczy fakt, iż szedł on bez przerwy przez dziesięć dni i potem jeszcze przez cztery następne - na popołudniówkach, aby w ten sposób dać możliwość widzeniu szerszej młodzieży szkolnej. Nawet „Burlak znad Wołgi” Cecila de Mille ani „Pat i Patachon - królowie śmiechu i

ulubieńcy publiczności” nie uzyskały w następnych miesiącach tak wielkiego powodzenia jak „Trędowata”.

Krytyka filmowa przecież zrobiła swoje. Przez dziesięć lat żadna polska wytwórnia nie odważyła się zekranizować „Trędowatej”, chociaż nastały czasy filmu dźwiękowego, a to mogło dodać atrakcyjności nowej ekranizacji. Natomiast Helena Mniszek-Radomska nadal poświęcała się swojej pasji twórczej, od 1920 r. w majątku Kuchary w Płockiem. Trzeba przy tym odnotować, że potrafiła wychować cztery córki, pracowała społecznie jako przewodnicząca Koła Ziemianek i członkini Przysposobienia Wojskowego. Karierę pisarską zakończyła w 1930 r., w 52 roku życia, wydaną w Warszawie książką „Magnesy serc”. W sumie, w ciągu 31 lat wydała 19 książek (nie mówiąc o wznowieniach), a 3 z nich zostały przeniesione na ekran: „Trędowata”, „Ordynat Michorowski” i „Gehenna”. Wypędzona przez Niemców spod Płocka, zmarła w 1943 r. w rodzinnej Sabni na Podlasiu.

Tak to trzynastcie lat przed śmiercią zamilkła muza Heleny Mniszek (z jakich powodów - może to ktoś wyjaśni?), ale nie skończyło się zainteresowanie jej twórczością. „Trędowata” urosła do rangi narodowego kompleksu, stała się Winkelridem kiczu i „kozłem ofiarnym” (T. Walas), ale też była wciąż, z upływem dziesiątków lat, na swój sposób żywa, budziła zainteresowanie. I pewnie dlatego w 1936 r. wytwórnia „Sfinks” zdecydowała się na powtórny ekranizację książki.

Tym razem krytyka ustosunkowała się do „Trędowatej” o wiele przychylniej. Zresztą film był zrobiony zręcznie, dobrze reżyserowany przez jednego z najzdolniejszych ówczesnych polskich reżyserów - Juliusza Gardena. W roli Stefcy wystąpiła doskonała aktorka Elżbieta Barszczewska, w roli ordynata Michorowskiego - Franciszek Brodniewicz. Rangę filmu podnosił jeszcze fakt udziału w nim świetnej Mieczysławy Ćwiklińskiej i Kazimierza Junoszy-Stąpowskiego. Był to kasowy sukces sezonu 1936/37, a w plebiscycie pisma „Świat Filmu” - „Trędowata” zajęła drugie miejsce za „Barbarą Radziwiłłówną”.

I znowu w Lublinie widownia kina „Corso” zajęta była przez 10 dni do ostatniego miejsca! Premiera odbyła się 21 września, w poniedziałek, a prasa informowała, że jest to film zrealizowany na miarę arcydzieł zagranicznych, który przemówi najpiękniejszym językiem miłości i że każdy Polak powinien zobaczyć chlubę polskiej produkcji.

Trzeba pamiętać, że ów dziesięciodniowy „maraton” istotnie świadczył o ogromnej popularności filmu. W 1926 r. kino „Corso” miało tylko jednego konkurenta: Kino „Świtez” (przy Krakowskim Przedmieściu 48). Teraz w Lublinie było aż 5 placówek konkurencyjnych: „Apollo”, „Stylowy”, „Gwiazda”, „Rialto” i „Venus”.

Za dwa lata przypadnie siedemdziesiąta rocznica ukazania się „Trędowatej”, książki potępionej i wyśmianej, ale zarazem fenomenu popularności. Na film Jerzego Hoffmana, z udziałem Elżbiety Starosteckiej i Leszka Teleszyńskiego, wałą tłumy. Ale na widowni nie

słysząc szlochów i łkań w momencie śmierci biednej Stefcii Rudeckiej, a służba porządkowa kina nie znajduje po seansie (jak to za dawnych czasów bywało!) zmoczonych łzami chusteczek. Dziennikarz, przysłuchujący się po wyjściu z kina rozmowom tłumu, więcej słyszy rzeczowych uwag nad doskonałymi zdjęciami Stanisława Lotha i zachwyty nad pięknem pałacowych wnętrz w Łańcucie i Książu (gdzie film był kręcony), niż sentymalnie-spazmatycznych „ochów” i „achów”. Widzowie, indagowani wprost, odpowiadają raczej niechętnie i na ogół krytycznie co do samej „Trędowatej” - książki.

Gdybym nie słyszała w życiu tyle o „Trędowatej”, w ogóle bym na film nie poszła. Poszłam z ciekawości. A to banał. Tyle, że ładnie zrobiony na szerokiej taśmie i w kolorze.

Starostecka piękna, Teleszyński przystojny. Ale czy nie mogliby zagrać w innej, mniej naiwnej „love story”?

Pięknie się kochają, ja też bym tak chciała...

Coś ten reżyser za bardzo i za szybko kawę na ławę kładzie. Ledwie Stefcia umarła, tylko grób wieńcami przywalili, a on już daje się prowadzić pod rękę hrabiance Melanii...

No tak, to film o głębokiej wymowie społecznej. Tylko za szybko się kończy. Żeby tak jeszcze pokazali upadek tych wszystkich arystokratów.

Film o wielkiej miłości, każda kobieta tak by chciała być kochana. Ale ta wszystko jakieś dawne, nieprawdziwe...

Piękne zdjęcia, piękne krajobrazy, konie, pałace. Tak, to film na pewno udany.

Tyle skąpych wypowiedzi można uzyskać od tzw. przeciętnych widzów. Nie są zbyt wzruszeni, śpiesznie idą do domów. Więcej zafascynowała ich „wystawa” filmu niż sama intryga. Patrzą na „Trędowatą” jak na wyblakłą fotografię z odzyskanego albumu babci, którą trzeba jednak obejrzeć z ciekawości, bo się o niej w domu całe życie mówiło.

A może nie chcą wyjawiać swoich prawdziwych odczuć? Zbyt niedawno oglądali w telewizji satyryczną wersję „Trędowatej”, zbyt wiele słyszeli od lat o grafomanii i złym guście Mniszkówny... Na dyskusję po filmie, zapowiedzianą przez kierownictwo kina, przyszły... dwie osoby! Funkcjonariusz milicji z Zamościa i jego żona, z wykształcenia nauczycielka.

A jednak film cieszy się szczególnie zainteresowaniem młodzieży. Tej, która wyławia z niego sam tylko wątek miłosny: miłości wzniosłej, ponadczasowej, gorącej przy tym i nie pozbawionej zmysłowości, ale zarazem „czystej”, nie brutalnej. Właściwie to samo, co przed siedemdziesięciu laty, tylko w innym opakowaniu. Od pewnego czasu skończyła się moda na filmy drapieżne, gwałtowne, na miłość brutalną i wyuzdaną. Młodzież przychodzi na mierne „Jezioro osobliwości” i na „Con amore” o wiele liczniej niż na amerykańskie „Ostatnie zadanie” czy „Policjantów”.

Więc może jednak struny, w które - choć nieumiejętnie - uderzyła Mniszkówna przed siedemdziesięciu laty, nie brzmiały nigdy aż tak fałszywie jak jej zarzucano, a tylko była to muzyka szczerą, ale nieudolną?

Pierwodruk: „Kamena”, 1976, nr 26, s. 10-11.